

# Balik, Zenon

---

## W syberyjskich tajgach żyć ... (6)

---

Przegląd Pruszkowski nr 2, 46-60

---

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## W syberyjskich tajgach żyć... \*/ (6)

*Dziesiąty luty będziemy pamiętali,  
Przyszli sowieci, myśmy jeszcze spali,  
I nasze dzieci na sanie włożyli,  
Na główną stację wszystkich wywozili.*

### NASZA ASYMILACJA I ORGANIZACJA

Wiosną 1942 roku byliśmy pierwszymi Polakami uwolnionymi z tajgi. Nasza droga z tajgi, chociaż najdłuższa, to jednak okazała się najszybsza, zgodnie z zapowiedzią dobrego Sybiraka. Któregoś dnia latem doszła do nas wiadomość, że do Kanska przyszedł z tajgi mężczyzna, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, ale wydaje mi się, że mógł nosić jedno z dwóch, które pamiętam z tego okresu: Grzeluk albo Kobylarz. Władze miasta nie miały dla niego mieszkania i skierowały go do naszej wspólnoty. Witaliśmy go jak rodzonego brata. Opowiedział nam swoją historię. Pan Grzeluk czy też Kobylarz postanowił pozostawić w tajdze żonę i córkę i samotnie udać się bliżej Polski, czyli do Kanska. Mówił, że długo kłócił się z żoną, bo ona i córka bały się iść pieszo w tak daleką podróż. Jego żona była Ukrainką i nie mogła zrozumieć patriotyzmu swojego męża Polaka. Żyli jakiś czas w niezgodzie aż wspólne życie stało się niemożliwe i postanowił iść sam. Tęsknota do Ojczyzny była silniejsza. Przy okazji opowiedział nam losy Polaków, którzy wyruszyli pieszo z tajgi do Kanska. Po drodze, w napotykanym osadach, władze miejscowe namawiały Polaków do pozostania u nich, tłumacząc, że w mieście będzie im trudno żyć, a tu obiecywali dobre zarobki i mieszkanie w samodzielnym domku. Pracę mogli dostać przy wyrębie lasu lub w kołchozach. Wielu Polaków zmęczonych wędrówką i głodem dało się namówić i pozostali, ale ci najbardziej zatwardziali szli dalej z małymi przerwami na odpoczynek, aż doszli do dużego sowchozu zaledwie 60 km przed docelowym Kanskim i tu najwięcej dało się „skaperować”. Pomyśleli sobie, że tu już jest na tyle blisko, by w każdej chwili, jak tylko nadarzy się możliwość powrotu do Polski, dojechać do Kanska. Było wśród nich dużo rolników, którzy trochę bali się miasta. Wielu z nich utrzymywało kontakt z Polakami, którzy wcześniej dotarli do Kanska. W okolicy Kanska dotarło też wielu polskich Żydów, na przykład do wsi Mochowoje odległe od Kanska około 30 km, ale najwięcej ich doszło do samego Kanska.

Do Kanska ściągali Polacy nie tylko z obozu, w którym przebywaliśmy. Obozów wokół Kanska było więcej i do miasteczka tego, ze wszystkich stron w jednym czasie promieniście, podążali Polacy. Jedni zostawali bliżej, drudzy dalej, a jeszcze innym udało się dotrzeć do celu. Wszyscy jednak utrzymywali łączność ze sobą, nasłuchując, czy nie nadarza się okazja powrotu do ojczyzny. W ten sposób powstał łańcuch łączności dużej części Polaków z okolicznych wsi z tymi w miasteczku.

Na Syberii miast, do których ciągnęli Polacy, było więcej. Kiedy byli na zesłaniu rozproszeni w tajdze, to tak jakby ich tam w ogóle nie było, bo wszyscy byli zagubieni, nikt o nich nie słyszał i nic nie wiedział. W Kansku latem 1942 roku było już około 200 Polaków. Było też sporo rodzin żydowskich polskiego pochodzenia. Zwołano zebranie wszystkich dorosłych. Powstał komitet. Wybrano delegata. Jeżeli dobrze zapamiętała jego nazwisko moja siostra, to został nim pan Rudolf Puchalski. Ja zapamiętałem tylko jego imię. Pan Puchalski okazał się bardzo dobrym organizatorem, a poza tym był to mężczyzna rośli, przystojny i inteligentny, lat około 40, z zawodu nauczyciel. Miał w sobie coś z wielkiego pana, ale się nie wywyższał. Wszystkich znał i traktował sprawiedliwie, a w razie potrzeby pomagał w miarę swojej możliwości. Przede wszystkim nawiązywał kontakty z Polakami w sąsiednich miejscowościach i utrzymywał ścisłą łączność z innymi komitetami z central, mam tu na myśli Irkuck i Krasnojarsk. Od niego dowiedzieliśmy się, że naszym wybawcą był generał Władysław Sikorski. Wierzyliśmy, że Sikorski wiedział o wszystkich Polakach, tułaczach Syberii. Był nam najdroższym Polakiem i nie zawiedliśmy się na nim. Nic dziwnego, że bardzo ciężko przeżywaliśmy wiadomość o jego śmierci. Oczywiście rozumieliśmy sytuację polityczną, że Związek Radziecki skruszony nawałą hitlerowską ustępował Sikorskiemu, ale komu innemu może nie ustąpiłby w takim stopniu.

Syberia w naturze mogłaby pochłonąć wiele krajów europejskich i dlatego wszyscy tak się boją Syberii, nie wyłączając samych Rosjan. Tam jest prawdziwe piekło na ziemi, a co najgorsze zgotowali je ludzie. Pierwsze lata studiów w Kraju Rad na takich kierunkach jak budownictwo lądowe, komunikacja czy Akademia Wojskowa, zaczynają się - owszem - sielankowo w całej Rosji, ale w ostatnich latach przychodzi strach przed nakazem pracy na Syberii. Oni dobrze wiedzą, że tam łatwo się dostać, ale wrócić stamtąd jest nieporównanie ciężiej. Opłakują więc matki swoje dzieci odjeżdżające na Sybir, niezależnie od przyczyn, jakie je tam kierują.

My, dzięki Sikorskiemu, odzyskaliśmy nie tylko godność, ale i nadzieję na powrót do ojczyzny. Nie wiem z jakiego źródła, ale nasz delegat - Rudolf Puchalski wiedział wiele. Pocieszał wszystkich, żeby się nie załamywali, żeby tylko przetrwali, to na pewno wrócą do kraju. Pan Puchalski pracował w magistracie, zdaje się, że w charakterze głównego księgowego-

go. Pozyskał sobie ludzi z władz miasta. Przypuszczam, że to w dużej mierze jego zasługa, iż rozsiedlono nas z tej okrutnie ciasnej nory przy ulicy Protocznej. Pozostała tam tylko jedna rodzina pana Calika. Nas i jeszcze inne trzy rodziny przeniesiono do nowych mieszkań.

Wujek Grochowski poznał pewną panią polskiego pochodzenia o nazwisku Malinowska, która była wdową. Pani Malinowskiej zależało na wujku i zaproponowała mu przeniesienie się do niej z czworgiem osieroczonych dzieci, a ona obiecała się nimi zająć. Pani Malinowska miała jednego syna Piotra (Pietkę). Tak się też stało: wujek tam się przeprowadził.

Nie pamiętam, gdzie zamieszkali państwo Cymermanowie. Urwał nam się kontakt z nimi i nie znam ich dalszych losów. Moja rodzina i jak mi się wydaje, także państwa Tarko, przeprowadziliśmy się do nowo wybudowanego wielorodzinnego domu, dość daleko od miasta przy drodze na Aszkaul.

### NOWE MIESZKANIE PRZY ASZKAULSKIM TRAKCIE

Był to dom drewniany, piętrowy, niedawno wybudowany na przedmieściu Kanska, położonego, jak mi się wydaje, na południowy wschód od miasta. Dom stał w oddaleniu od miejskiej zabudowy przy ulicy Aszkaulski Trakt. Do centrum Kanska było stąd niewiele więcej jak 2 km. Odcinek szosy za miastem był utwardzony tłuczniem walcowanym. Jeździły tędy od czasu do czasu ciężarówki i konne zaprzęgi. Dom stał po prawej stronie traktu, za wysypiskiem śmieci i nieczystości z miasta. Niedaleko był tartak gdzie pracowało sporo ludzi.

Do naszego pokoju na piętrze wchodziło się po zewnętrznych schodach. Od strony szczytu zaczynał się korytarz, pierwsze wejście na prawo prowadziło do naszego mieszkania. W alkowie bez okna (może to było pomieszczenie przeznaczone na kuchnię) ulokowała się mniej liczna rodzina Tarków.

Na Aszkaulskim Trakcie poczułem się osamotniony, bo nie miałem tu rówieśników kolegów. Był tu ze mną tylko Tadek Tarko, młodszy ode mnie o cztery - pięć lat. Był to chłopak o twardym charakterze i chociaż dużo ode mnie młodszy, ciągle wchodził mi w drogę i czasami bardzo skutecznie ze mną rywalizował. Chodziłem z nim na „gawnawozkę”. Grzebaliśmy w śmieciach i znajdowaliśmy tam „cacka” w postaci połuczonych szkielek, porcelany, naczyń, butelek i odpadów szpitalnych. W poszukiwaniach tych Tadek wykazywał dużo inicjatywy, grzebał w najpodlejszych śmieciach i zawsze coś znajdował. Zazdrościłem mu tego, bo mnie tak szczęście nie dopisywało, może dlatego, że byłem starszy i brzydziłem się grzebać gdzie popadło.

Po jakimś czasie przeniosłem się ze swoimi wycieczkami pod tartak, gdzie było duże wysypisko trocin i drobnych odpadków obrabianego

drewna, jakieś listwy, kółka i obrzynki małych deseczek. Spodobały mi się kółka. Nabrałem ich sporo i zaniósłem do domu, by się nimi nabawić. Były to kółka wycinane z desek o grubości od 16 do 20 mm. Średnica tych kółek wynosiła około 7 do 8 cm. Kółka były równiuteńkie i wszystkie jednakowe. W tym czasie w ogóle nie zastanawiałem się, co to są za kółka i po co były robione. Dopiero w czasie służby wojskowej na poligonie zobaczyłem pociski artyleryjskie złożone w skrzynkach, które w ściankach przedziałowych miały otwory, a przez nie były nanizane pociski. Wówczas uświadomiłem sobie, że już w Kansku miałem do czynienia z tajemnicą wojskową. Bawiłem się tymi kółkami z Tadkiem i ze swoim rodzeństwem.

Później zabierałem czasami Tadka na tę hałdę tartaczną. Robotnicy wynosili skrzynie pełne trocin i odpadków i wysypywali ich zawartość. Kiedy wiał wiatr, suche trociny były wydmuchiwane, a na miejscu pokazywały się gwoździe różnego kalibru. Jak się trochę pogrzebało, to można było wybrać garstkę gwoździ. Przychodziło tu czasem trochę ludzi i zawsze czegoś szukali i coś stąd zabierali. Ja wybierałem gwoździe. Większość z nich była pogięta albo przycięta, ale trafiały się proste, zupełnie nowe. Myślę, że były one gubione w trocinach przy produkcji. Wybrałem jeszcze parę deseczek, które mi się spodobały. Mam już kółka, gwoździe i deseczki, więc pomyślałem sobie, że zrobię z tego wózek dla młodszej siostry, albo dla któregoś braciszka. W środku kółek robiłem dziurki niezbyt centrycznie za pomocą grubszego gwoźdźdź. Montowałem w kółkach ośki, którymi były cieńsze gwoździe i mocowałem do kawałka patyka. Poprzecznie do środka patyka doczepiłem długą listewkę, która miała spełniać rolę dyszelka. Na powstały w ten sposób krzyżak z dyszelkiem przybiłem skrzyneczkę, wykonaną z cienkich deseczek. Powstała praktyczna zabawka: mały wózek do piasku. Wszyscy podziwiali moje dzieło.

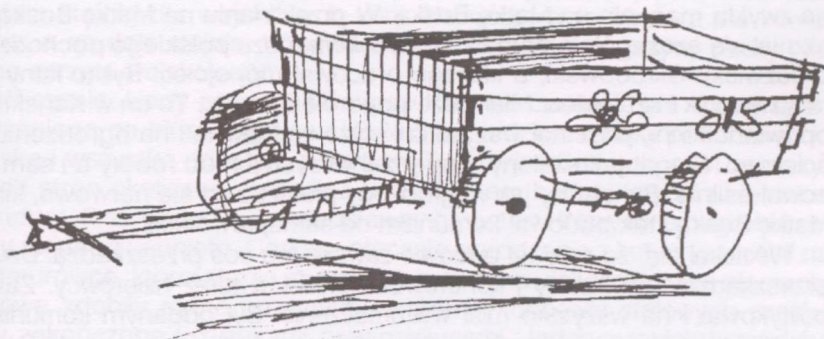
Kiedy siostra Todzia na bocznych skrzyneczki kredkami wyrysowała kwiatki i motylki to powstało z tego prawdziwe cacko. Natychmiast wziąłem się do robienia następnych wózków, starając się uniknąć błędów popełnionych w pierwszym. Jednej niedzieli mama z Todzią poszły do miasta na bazar i wzięły ze sobą 3 mojej roboty wózki. Nim doszły do bazaru, już obstąpiły je kobiety zainteresowane nabyciem takiego wózka dla swoich pociech. Trzeba wiedzieć, że w tym czasie przemysł w Rosji nie produkował zabawek dla dzieci. Wszyscy pracowali tylko po to, żeby funkcjonowało państwo i wojsko. Sklepy, czyli tak zwane „magazyny” były tylko po to, żeby wydać chleb na kartki. Na bazarze zawsze można było kupić wiele praktycznych rzeczy przeważnie używanych, ale za bardzo wysokie ceny. Matka nie była zorientowana, ile można było wziąć za taki wózek. Kiedy trafili się nabywcy, sprzedała je po 5 rubli za sztukę. Dla porównania: w tym czasie za 5 rubli można było kupić na bazarze dwa placki ziemniaczane smażone na oleju, wielkości kotleta mielonego, lub szklanek „siemiczek” czyli prażonego ziarna słonecz-

nika, ewentualnie szklanę orzeszków kiedrowych przywożonych przez wieśniaków z tajgi. Tego dnia matka z siostrą przyniosły z bazaru trochę zakupów. Mama miała jeszcze jakieś pieniądze, więc dla każdego było po jednym placku ziemniaczanym, po garstce *siemiczek* oraz orzeszków. Uradowany, że moje wózki zostały tak korzystnie sprzedane, postanowiłem robić ich więcej.

Od tego dnia codziennie byłem pod tartakiem po kilka razy, czekając na wyrzucenie potrzebnych mi ścinków drewnianych, kótek i gwoździ. Resztę dnia spędzałem na robieniu wózków, a siostra rysowała na nich kwiaty i motyle. Kiedy ojciec się zorientował, że ja tak ciężko pracuję z dużą korzyścią dla rodziny, zaczął mi pomagać. Kupił na bazarze hebeleki i zaczął mi po pracy w wolnych chwilach heblować listewki na dyszelki. Dla mnie było to wielkie ułatwienie, bo dotąd mozolnie obrabiałem dyszelki szczyrykiem, co wymagało dużego wysiłku i pochłaniało wiele czasu. Teraz dyszelków miałem pod dostatkiem. Jeżeli tylko zdobyłem odpowiednie listwy, ojciec heblował mi 6 do 10 sztuk. Teraz uruchomiłem produkcję seryjną po 10 do 15 sztuk. Jak zrobiłem serię, mama z Todzią w niedzielę wynosiły je na bazar. Osobiście nie sprzedawałem, bo szkoda było mojego czasu, przez ten czas mogłem coś przygotować.

Często miałem przestoje z powodu braku surowców. Najbardziej dokuczał mi brak gwoździ różnego wymiaru. Nie było żadnej możliwości nabycia gwoździ nawet na bazarze, było tylko jedno źródło, to jest wysypisko trocin pod tartakiem. Dwa duże gwoździe wielkości 3 cali były potrzebne na ośki kótek i co najmniej 15 sztuk mniejszych, do połączenia skrzyneczki z podwoziem. Znalezienie tylu gwoździ w dużej kupie trocin przypominało szukanie igły w stogu siana.

Aż tu pewnego razu Tadek znalazł na „gawnawozce” magnes w kształcie podkowy od jakiegoś dużego głośnika. Gdy Tadzio bawił się magnesem, zauważyłem, że zbliżony do różnych metalowych przedmiotów przyciąga je i dość mocno trzyma. Pomyślałem sobie, że gdybym w jakiś sposób wymanił od Tadka ten magnes i zamieszał nim w trocinach, to mógłby przyciągnąć do siebie napotkane gwoźdźki. I stało się jak pomyślałem. Nie pamiętam tylko, jakich forteli musiałem użyć, żeby wymanić od Tadka ten magnes. Przypuszczalnie musiałem spełnić wysokie wymagania Tadka, bo on był znany ze swojego uporu i podejrzliwości w stosunku do mnie, bo ja jako starszy nieraz próbowałem go wykiwać, a on się tak wycwanił, że nieraz trudno było go „ugryźć”. Nie przypuszczałem jednak, że magnes może dać aż takie rezultaty. Wystarczyło wsadzić magnes w kupę świeżo wysypanych trocin i krótko nim pokręcić, by wyłapać wszystkie napotkane gwoźdźki, które oblepiały magnes ze wszystkich stron. Była to prawdziwa rewelacja. Do magnesu przyczepiały się też inne metalowe przedmioty: blaszki, podkładki, nity, druciki i tym podobne rzeczy.



Po jednej takiej wyprawie pod tartak miałem gwoździ na cały tydzień, jak nie na więcej. Pracowałem teraz całymi dniami. Nieraz byłem zmęczony i zrezygnowany do reszty. Chciał moja praca - 12 letniego chłopca - przynosiła może więcej efektów materialnych niż ciężka praca mojego ojca - jednak trzeba przyznać, że wszystko to było jeszcze dalekie od zaspokojenia głodu mojej rodziny. Mogłem zrobić 3 wózki dziennie i było za nie 6 placów ziemniaczanych, które zjadłbym sam na jeden dodatkowy posiłek prócz tego, co zjadałem. Często popadałem w depresję i zamiast pracować, rozmyślałem nad życiem ludzkim i tą ohydą jaką widziałem na codzień. Wydawało mi się, że życie ludzkie jest jakimś nieporozumieniem i bezsenssem.

### PRYZGNĘBIENIE

W tej nędzy, zakłamaniu, bluźnierstwie dzieci i dorosłych wszystkie dotychczas poznane zasady moralne i etyczne nie znajdowały swojego potwierdzenia w życiu. Nie mogłem dostrzec u ludzi żadnych cech szlachetnych, które by różniły się od cech zwierzęcych. Ani w stosunkach międzyludzkich, ani w miłości, ani w codziennym bezradnym życiu.

Cóż z tego, że moi rodzice byli uczciwymi, jak na tamte warunki iubożnymi ludźmi. Cóż z tego, że modlili się codziennie i ciężko pracowali, jeżeli ani ich ciężka praca, ani prośba do Pana Boga nie przynosiła żadnych rezultatów, oprócz codziennej męki. Ja miałem robić wszystko to, co oni i żyć tak samo w nędzy i upokorzeniu?

Takie życie, jakie dotychczas poznałem nijak mi nie odpowiadało. Wydawało mi się, że lepsza byłaby śmierć. Środowisko, z którym się stykali-

śmy, było niezmiernie prymitywne. Wydawało mi się, że chyba każdy za miskę kaszy byłby zdolny uczynić wszystko, nawet zabić swego ojca. Wszędzie słyszałem tylko przekleństwa. Niezależnie od wieku i płci klęli wszyscy najprzeróżniej, a niemal wszystkie przekleństwa dotyczyły intymnych spraw ludzkich i matek. Często też słyszałem przekleństwa już nie na zwykłą mać, ale na Matkę Boską. W przeklinaniu na Matkę Boską wyróżniał się szczególnie brygadzysta *Gorkomchozu* polskiego pochodzenia o nazwisku Skłodowski, u którego pracował mój ojciec. Był to istny szatan, nędznik i szaleniec. Miał duże poparcie u władz. To on w Kansku, jak opowiadali inni, pościął wszystkie krzyże cerkiewne i na ogrodzeniu kościelnym. Biegał jak szalony, popędzał wszystkich do roboty a i sam pracował usilnie. Był chudy jak wygłodzony pies i trząsał się nerwowo, kłął na Matkę Boską i tak budował komunizm od samej rewolucji.

Wściekał się, że przy tej budowie zawsze mu coś przeszkadza. Dawniej przeszkadzali mu kułacy i kontrrewolucjoniści, a teraz hitlerowcy. Zawsze politykował i na wszystko miał wytłumaczenie. Był oddanym komunistą z przekonania. Nie lubił ojca, bo ojciec robił mu często jakieś uwagi. Oczywiście, takich jak Skłodowski nie było wielu. Więcej było ludzi takich, jak jeden przyjaciel ojca z pracy o nazwisku Prutkow. Ten mało się odzywał, pracował bez nerwów, był spokojny, nie politykował. Przynosił do pracy pół litra mleka i po zjedzeniu obiadu w stołówce wypijał pół litra mleka, a pustą butelkę chował do woreczka, z którym się nigdy nie rozstawał. Kiedy kilku takich jak Prutkow w towarzystwie ojca zebrało się na jakiejś przerwie, to wspominali dawne czasy. Często bywałem u ojca w pracy i słyszałem rozmowy tych poczciwych ludzi. Mówili i wdychali jak było „*rańsze*”. *Rańsze* u Rosjan znaczyło „przed rewolucją” jak u nas „przed wojną”. Mówili, że *rańsze* na Syberii wolny obywatel żył bogato. Szczególnie na wsi. Hodowali duże ilości bydła i drobiu, i jedzenia mieli pod dostatkiem. Owszem, byli wielcy bogacze, ale u bogatego najbiedniejszy miał lepiej niż po rewolucji najbogatszy.

We wszystkich wspomnieniach o *rańszych* czasach górowało uznanie dla ówczesnego przepychu i obfitości, szczególnie w jedzeniu. Słuchało się tego z niedowierzaniem.

Kiedy pojawiał się Skłodowski, wszyscy milkli, za to Skłodowski popisywał się swoimi wspomnieniami, jak został socjalistycznym przodownikiem pracy zaraz po rewolucji. Jak to władze rewolucyjne uporały się z burżujami i kontrrewolucją, a najpilniejszą sprawą w Kansku stała się sprawa zdemolowania cerkwi. Wnętrze było wprawdzie już w dużej mierze zdemolowane, zaśła jednak potrzeba nazwijmy to, zmiany elewacji cerkwi. Chodziło o usunięcie krzyży z cerkwi, bo szkoda było burzyć całego budynku. Robota była odpowiedzialna, trzeba było ją wykonać fachowo na wysokości, bez kosztownego sprzętu i jednocześnie niebezpieczna.



Nie było chętnych i odważnych, ale to właśnie Skłodowski podjął się tego dzieła. Praca była planowa i wynikała z ustaleń władz. Z cerkwi udało się usunąć wszystkie wieżyczki z krzyżami prawosławnymi. Wystrój cerkwi zniszczono do reszty, albo spalono. Freski na ścianach skuto razem z tynkiem. Wyższą nawę przedzielono stropem. Na początku założono tam stajnię dla wojskowych koni. Na górze była kwatera dla koniuchów, a na dole stajnie. W nawach bocznych były magazyny paszy i innego sprzętu wojskowego.

W czasie, kiedy przyjechaliśmy do Kanska, cerkiew była sprzątnięta i zamieniona na biuro wojskowe. Była tam siedziba komisji poborowej do wojska i wszystko co z tym związane. Tu przyjeżdżali poborowi ze wszystkich stron okolicznej Syberii, z tajgi. Byli tam badani, myci i ubierani w mundury. Przy cerkwi był prawosławny cmentarz. Wszystkie nagrobki zostały stamtąd usunięte. Cerkiew otaczało ogrodzenie z kutych szczebli na podmurówce, której słupki murowane były z twardej cegły. Kute elementy stalowe zdobiły różne ornamenty, a górne końcówki stalowych prętów były zakończone krzyżkami prawosławnymi. Jeden z takich krzyżyków widziałem osobiście w późniejszych miesiącach, jak przebywałem w tym miejscu. Był to fragment ogrodzenia jakby zgniecionego przez powalenie nań czegoś ciężkiego od strony obecnie istniejącego tam parku Lenina. Najprawdopodobniej zważyło się tam duże drzewo, bo wiele takich drzew rości przy cerkiewnym parkanie. Krzyż był zagięty ku dołowi i prawie niewidoczny. W ten sposób ocalał ślad po krzyżkach na parkanie. Wszystkie inne krzyże na tym parkanie, oprócz tego ocalałego, były poćcinane ręczną piłką do metalu. Skłodowski chwalił się, że to on własnoręcznie poucinał krzyże i zarobił na tym nieźle.

Dziad Skłodowskiego był zesłany na Sybir z Polski, nie pamiętam w którym roku. Jego wnuk został bohaterem rewolucji. Był mistrzem ślusarskim i prowadził od rewolucji różne roboty ślusarskie i hydrauliczne. Teraz mój ojciec uczył się ślusarstwa, pracując jako pomocnik przy kopaniu rowów pod rury i skręcaniu rur stalowych łącznie z gwintowaniem. Skłodowski nie znał już języka polskiego, ale zawsze podkreślał swoje polskie pochodzenie. W bardzo prosty sposób tłumaczył, że Boga nie ma, bo gdyby był, to już dawno by go ukarał za jego sprzeniewierzenia. Skłodowski pokazywał swoje spracowane ręce i mówił, że tymi rękami wykonał wiele chlubnych robót dla socjalizmu.

Polacy porównywali wspomnienia Sybiraków o „rańszych” czasach do bytowania w Polsce. Jeżeli przyjąć, że „rańsze” było na Syberii całkiem nieźle, a potwierdzał to Wacław Sieroszewski w swej powieści „Droga do wolności”, to chłopom polskim w tym czasie było o wiele gorzej. Sporo chłopstwa w przeludnionych województwach Małopolski nie dojadło. Na wsi pod Krakowem, gdzie się urodziłem, przed wojną chłop prawie na

okrągło jadł żur z ziemniakami i chleb z mlekiem, czasami zabił kurę albo królika, a na święta gęś. Prawie całą swoją hodowlę przeznaczał na sprzedaż. Pieniądże były potrzebne na podatki, na powiększenie gospodarstwa, lub na spłaty, bo rodziny były bardzo liczne.

Mój ojciec otrzymał gospodarstwo po dziadku i musiał spłacić czworo rodzeństwa. Spłaty te tak mu się dały we znaki, że po ich uregulowaniu rodzice mieli dość swojej rodziny i w ślad za szwagrem Marcinem Tarko, sprzedali swoje sześć mórg pola z budynkiem i w 1938 r. wyjechali na Podole jako koloniści. Za tamte sześć mórg kupili na Podolu dziesięć hektarów urodzajnej ziemi. Długo się nie nacieszyli swoim bogactwem, bo wybuchła wojna i przyszli okrutni sowieci. Męka życiowa moich rodziców ciągnie się od dzieciństwa, zawsze żyli w niedostatku. Oczywiście niedostatek niedostatkowi nie równy. Na Syberii nigdy nie pojedliśmy do syta nawet żuru z ziemniakami, nie mówiąc już o chlebie i o mleku.

### INNE SPOSTRZEŻENIA

Pod koniec lata moje wózki coraz słabiej szły na bazarze. Większość matek kupiła już dla swoich pociech wózki i często bywało, że nie wszystkie zostały sprzedane. Wreszcie stało się największe nieszczęście, bo łobuzy złapali mnie na wysypisku trocin i zrewidowali szukając rubli. Znaleźli magnes i zabrali go. Dostałem kilka kopniaków i poszedłem z płaczem do domu. Na tym skończyła się produkcja wózków.

Zimę spędziłem beczynn timer więcej przebywając w domu. Czasami, jak były pieniądze, chodziłem do miasta na bazar, żeby coś kupić. Na bazarze można było kupić różne artykuły spożywcze, coś z odzieży i do gospodarstwa domowego, aby tylko były ruble, ale niestety było ich niewiele. Czasami kupiło się szklanę „siemiczek” albo krążek mrożonego mleka, jeśli to była zima. Artykuły żywnościowe sprzedawali kołchoźnicy przywożący z własnego ogródka towary rolne. W państwowej sprzedaży nie było niczego oprócz chleba na kartki. Kołchoźnik sprzedawał ziemniaki na wiaderka lub mrożone mleko w kształcie krążków o średnicy miski. Kołchoźnik zbierał mleko od jednej krowy przez miesiąc, albo dłużej i jak ubierał kilka worków mrożonego mleka w krążkach, przyjeżdżał do Kanska i sprzedawał. Miał przy tym kilka worków ziemniaków, ziarno słonecznika lub dyni. Czasami sprzedawał ogórki kwaszone i zmrożoną kapustę kwaszoną. Na mrożonych krążkach mleka trzeba się było znać, bo często były oszukane. Mleko było nalewane do aluminiowych misek i jak zamarzało to całe krążki wrzucał do worka dzień po dniu, aż ubierał ich więcej. Sprzymierzeńcem takiego sposobu przechowywania i sprzedawania mleka był mróz, który trwał ciągle od października do maja. Krążek dobrego mleka charakteryzował się tym, że na wierzchu był bardziej żółty niż krem na ciastku. Po prostu mleko najpierw ustało się i od dołu wcześniej zama-

rzało, wypierając na wierzch śmietaną, która zamarzała na końcu przy niższej temperaturze. Oszukane mleko było od dołu bardziej szkliste co świadczyło, że dolano do niego wody, a z wierzchu była cieńsza warstwa zmarzłej śmietany. Czasami dla zmylenia klienta wierzchnią warstwę mleka kołchoźniczka posypywała mąką przez co tłusta warstwa była jakby grubsza.

Na bazarze zawsze coś się działo, przeważnie ktoś coś ukradł i uciekał, a inni go gonili. Bywało też, że złodzieje z różnych stron bazaru biegli naprzeciwko siebie, i jeśli się nie znali, to myśleli, że ktoś im zabiega drogę i nagle zmieniali kierunek ucieczki. Na ogół złodzieja gonił poszkodowany, a ludzie nie zawsze mu życzyli, żeby go dogonił. Nikt z osób trzecich nie wtrącał się. Kiedy okradano kołchoźnika, to tak jakby w ogóle nic się nie stało. Kołchoźnika można było okradać na oczach społeczności miejskiej. Kołchoźnik z babą sprzedawał ziemniaki i miał ich zwykle kilka worków stojących obok siebie lub leżących jeden na drugim, a przy tych workach stała kolejka kupujących. Chłop odmierzał ziemniaki do wiaderka, a baba przyjmowała pieniądze. Byli przy tym tak bardzo zajęci, że nie zwracali uwagi, co się wokół dzieje. A tymczasem złodziej, najczęściej młodzieniec stojący w kolejce, przykucnąwszy na oczach wszystkich rozpruwał worek nożem i ładował ziemniaki do torby. Stojący obok niego udawali, że nic nie widzą. Stanowisko świadków kradzieży było uzasadnione, bo chłopak, który kradł, przeważnie nie był sam - obstawiało go kilku nożowników z jego paczki. Gdyby ktoś w tym czasie krzyknął: złodziej! czy coś w tym rodzaju, to mógłby zaraz mieć nóż w brzuchu. Baby, które sprzedawały „siemiczki”, ziarno dyni czy orzeszki, stały przy straganie i były także okradane w następujący sposób. Rzekomy klient podchodził i oglądał towar, grymasząc przy tym na jego jakość. Drugi złodziejaszek podchodził z tyłu i pukając babę w plecy mówił do niej:

- *Tiotińka pazwoltie mienie adin stakańczyk siemiczek.*

Baba się odwracała, a w tym czasie ten z przodu chwycił cały woreczek z siemiczkami i w nogi. Zanim się baba spostrzegła, rabuś był już daleko, albo zginął w tłumie i nikt go nie śmiał wydać, bo mógł wpaść na sztylet. Było w mieście kilka band bazarowych, których członkowie byli na ogół znani wszystkim. Nikt ich nie wydawał, bo oni nikogo nie skrzywdzili, jeśli im nie wchodził w drogę.

Po wizycie na bazarze wstępowałem do pracy ojca. Blisko bazaru budowano duży dom piętrowy. Oczywiście drewniany. W tym mieście prawie wszystkie domy były drewniane z wyjątkiem starej zabudowy w centrum miasta, a najwięcej przy ulicy Lenina. Dom ten miał być nową siedzibą *Gorkomchozu*. Przy tej budowie pracował mój ojciec u brygadzysty Skłodowskiego. Pracował tam poczciwy Prutkow, o którym już pisałem i

kilku wysiedlonych z Leningradu z racji niemieckiego pochodzenia. Byli to obywatele sowieccy, ale przodkowie ich pochodzili z Niemiec. Kiedy ofenzywa niemiecka zbliżyła się do Leningradu i Moskwy, wszystkich obywateli pochodzenia niemieckiego, a może i obywateli nie tylko tego pochodzenia, zsyłano na Syberię, żeby nie tworzyli piątej kolumny albo nie uprawiali sabotażu. Oni nie byli na Syberii obywatelami wolnymi. Pracowali jak więźniowie. Mniej więcej na pięciu wysiedleńców przypadał jeden wartownik, który ich prowadził z koszar do pracy, potem na obiad i tak dalej. Na budowie byli skrupulatnie kontrolowani co robią i gdzie przebywają. Czuwano, żeby za długo nie rozmawiali z Polakami czy Rosjanami. Dawano im podrzędną pracę i jakość ich pracy była ciągle kontrolowana, jakby im nie ufano. Najczęściej kopali rowy w wiecznej zmarzlinie dla położenia rur wodociągowych.

Ojciec mój w tym czasie był dopuszczony przez Skłodowskiego do prac fachowych, mianowicie do gwintowania rur za pomocą gwintownicy ręcznej. Sam pokręcałem tą gwintownicą, ale uważałem, żeby Skłodowski tego nie widział. Gdyby mnie zobaczył przy gwintownicy, to by się ojcu dostało za to, że nie pilnuje sprzętu, który mógłbym zepsuć, był on bowiem pilnowany prawie jak karabin przez żołnierza.

Przyglądałem się wszystkiemu i słuchałem jak Skłodowski szalał na budowie i krzyczał na cieśli, że się nie uwijają, na ojca, że za wolno gwintuje rury, a szczególnie wymyślał i kłął na Matkę Boską, kiedy zwracał się do ludzi niemieckiego pochodzenia, chociaż byli oni pracowici i trudno było ich podejrzewać o jakiś sabotaż. Sam Sybir uspakajał wszystkich i nie pozostawiał odwagi na wrogie działanie, ale Rosjanie byli przezorni i dmuchali na zimne.

Wspomniałem o kopaniu rowów w wiecznej zmarzlinie. W Kansku i w tajdze nawet pod koniec lata ziemia była zmarznięta już na głębokości półtora do dwóch metrów. Kopiąc głębiej, trafiało się na lód niezależnie od pory roku. Do niedawna ojciec kopał rowy pod rurociągi. Jednak Skłodowski dopatrzył się w ojcu więcej umiejętności i kiedy przyszli niewolnicy pochodzenia niemieckiego, ojcu powierzono prace bardziej odpowiedzialne. Oprócz gwintowania i skręcania rur w instalacjach domowych ojciec potrafił też łączyć i uszczelniać rury kanalizacyjne, żeliwne, łączone kielichowo. Te same rury były też stosowane w liniach wodociągowych. Do uszczelniania tych rur w kielichy ubijane były smołowane konopie i ołów. Układano je co najmniej na głębokości dwóch metrów i obsypywano jakąś kompozycją mineralną i tłuczniem, a na koniec ziemią. W mieście było już kilka takich linii wodociągowych. Często jednak szczeliwo ołowiowe nie wytrzymało ciśnienia i zdarzały się awarie. Powstawały wtedy źródła tryskającej wody na powierzchni ziemi.

## ZWOLNIENIE DYSCYPLINARNE I BIEDA

Pod koniec 1943 r. bieda zaczęła się nam coraz usilniej dawać we znaki. Głównym powodem było dyscyplinarne zwolnienie mojej matki z pracy w piekarni, gdzie pracowała w charakterze drwała. Powodem zwolnienia było znalezienie u matki w czasie rewizji kilku kawałków chleba, ukrytego pod pachami. Nie pomogła prośba o przebaczenie ani płacz matki. Była to już druga wpadka i pomimo że naczelnik wiedział, że matka ma kilkoro dzieci na utrzymaniu - decyzji nie zmieniono i matka została bez pracy, a co najważniejsze bez dodatkowych kawałków chleba, które zdobywała w piekarni. Zmniejszyła się nam racja chleba i głód bardziej dawał się we znaki.

Już od jesieni 1942 r. normy przydziałowego chleba na kartki zniżono do minimum. Sytuacja gospodarcza kraju była katastrofalna. Niemcy zbliżali się do Moskwy, Leningradu i Stalingradu. W całym kraju panował głód. Chleb na kartki otrzymywała tylko ludność miast i wsi nie rolniczych. Dzienna norma chleba razowego wynosiła 600 gramów dla pracujących, 400 gramów dla dzieci i młodzieży oraz 300 gramów dla „wyżywieńców” - ludzi starych lub inwalidów. Chleb razowy był ciężki jak glina. Przez to przyznawane racje stawały się jeszcze mniejsze. Oprócz chleba prawie nic więcej nie było do jedzenia, najwyżej na obiad zupa z ziemniaków albo z obierek.

Nie wszyscy sobie zdają sprawę, jak mało było tego jedzenia. Jednego razu, już w Polsce, kiedy opowiadałem o tym koledze, stwierdził, że właściwie on nie zjada więcej chleba niż 400 g. Oczywiście zapomniał, że oprócz tych 400 g chleba zjadał na pierwsze śniadanie miskę zacierki z jajkiem na mleku. Na drugie śniadanie conajmniej 100 g boczku albo kiełbasy i do tego ze dwie słodzone herbaty. Na obiad talerz zupy, kopiasty talerz ziemniaków kraszonych albo kaszy i do tego kotlet schabowy lub inne mięso z surówką i przyprawami. Wypijał przy tym słoik kompotu ze śliwek lub z truskawek. To wszystko popijał słodką herbatą i zjadał jabłko na deser. Później wypił kawę. Na kolację zrobił grzanki na smalcu, do których dodał ileś tam sera, kiełbasy, cebuli. Na koniec wypił dwa piwa i nawet z tych 400 g chleba został mu kawałek, który nazajutrz wyrzucił do kosza na śmieci. Myślę, że gdyby do tego jedzenia nawet chleba w ogóle nie było, to nie doznałby żadnego uszczerbku. Dla nas zaś chleb był prawie jedynym pożywieniem.

Kiedy matka przynosiła z piekarni dodatkowe kawałki chleba, ostrożnie nam wydzielala i starała się, żeby oprócz tego co się zjada, jeszcze trochę ususzyc na gorsze czasy. Kiedy matkę wyrzucili z pracy, mieliśmy zapas około 10 kg sucharów z razowego chleba. Z tego codziennie było dożywianie. Woreczek z sucharami leżał na piecu i zbliżanie się do niego było zabronione. Matka znaczyła sobie pętelki na sznurku, którym był związany woreczek i gdyby ktoś podkradł suchara zaraz byłby ślad. Zre-sztą wszyscy nawzajem pilnowaliśmy się przez cały dzień i podkradanie

było niemożliwe. Nawet gdyby ktoś wyciągnął kawałek suchara, to byłby przyłapany na jedzeniu, gdyż zdradziłoby go chrupanie. Gdyby wyszedł z sucharem na dwór, wzbudziłby podejrzanie.

## PSZENNE KŁOSY

Wiosną, pod koniec kwietnia, z południowych stoków pół kołchozowych zniknął śnieg od ciągle świeżącego słońca. Jeżeli było tam pole, skąd ubiegłego roku zebrano pszenicę, teraz wyłaniało się ściernisko, które natychmiast wysychało. Jeżeli po zbiorze pozostały na ściernisku kłosa, to ani w jesieni, ani na wiosnę nie zdążyły wykiełkować. Teraz można było je pozierać i uzyskać z nich ziarno. Ten sposób zdobywania żywności na wiosnę był znany Sybirakom, mieszkańcom miast, już od dawna. Więc, jak tylko ginął śnieg na polach, to ludność Kanska wychodziła za miasto na pola kołchozowe i zbierała kłosa zbóż.

Teraz nasze matki codziennie, albo co drugi dzień wychodziły na pola kołchozowe, a często my dzieci z nimi. Chodziliśmy całą gromadą. Przez cały dzień zbieraliśmy średnio po pół worka na osobę. Po powrocie do domu młóciliśmy kijami w worku kłosa i na wietrze odsiewaliśmy plewy od ziarna. Każdy uzyskiwał około kilograma ziarna, a niekiedy i więcej.

Muszę wyjaśnić, skąd się brały te kłosa na ściernisku. Żniwa na Syberii są stosunkowo późno, natomiast zima przychodzi wcześniej. Od żniwa do śniegu czasu jest niewiele, a prace w kołchozach ciągną się ślamazarnie. Późne żniwa są spowodowane późną wiosną i późnymi zasiewami zbóż jarych. Zasiewy odbywają się pod koniec maja. Dla przykładu: w Polsce w marcu i na początku kwietnia. Żniwa bywają w sierpniu. Zboże nie zebrane na czas we wrześniu zastają przymrozki. Jednak nie zebrane ziarno nie kiełkuje na prniu tak jak u nas, bo tam na ogół jest o tej porze sucho. Na początku jesieni w nocy ziarno jest konserwowane mrozem, a w dzień suszą słoneczną. Tak więc nie zebrane zboże doczekać może początku października, kiedy to spadnie pierwszy śnieg i leży do wiosny. Topnienie śniegu jest szybkie, ale warstwowe, z przystankami nocnymi. Ziemia jest zmarznięta i długo promieniuje mrozem w dolne warstwy śniegu, a od ostrego słońca tylko w dzień górne warstwy śniegu topnieją. Jeżeli ziarno ma nawet dzień czy dwa dni wilgoci to i tak nie zdąży wykiełkować. Gdy śnieg stopnieje na stokach południowych, a nawet na równinie, zboże wysycha i ziarno wyglądem nie różni się wiele od zebranego w czasie żniwa.

Na ogół już w czasie wojny zbiory zbóż na Syberii były wykonywane sprzętem zmechanizowanym, czyli kombajnami. Nie były to takie cacka jak nasze „Bizony”, nie mniej jednak ścinały zboże i młóciły. Ze względu na to, że uprawa zbóż na Syberii trwa od niedawna, pola są niewyrównane. Przeważnie zajmują różnej wielkości dołki i pagórki. Teren jest prawie

taki, jak go Pan Bóg stworzył. Kombajny musiały więc wyżej ustawiać noże do koszenia na pagórkach, żeby uniknąć zetknięcia noży z ziemią lub kamieniami, co grozi awarią. Wyższe ustawienie noży powodowało, że ścierniska były wyższe. Zboża na Syberii nie rosną zbyt wysokie, stąd żdźbła słomy są tu dość wysoko przycinane. Jeżeli trafi się jakiś dołek lub gorsze zboże, które będzie okraczone przez kombajn, to mogą być ucięte same kłoski, albo i w ogóle łan pozostawiony nietknięty. Uciętych kłosów kombajn nie zbierze i pozostaną na polu. Te właśnie kłosy i nie pościnane zboże zostaną na zimę na polu i doczekają wiosny, bowiem kołchozy nie są w stanie po żniwach wykonać zgrabiania ścierniska dla dokładniejszego sprzętu zbóż, bo nie bardzo mogą zdążyć ze zbiorem zbóż ze wszystkich pól, jakie mają w posiadaniu.

Takie były przyczyny obiektywne, a przecież były też subiektywne. Te drugie chyba dawały więcej strat niż te pierwsze. Sprzęt się psuł, fachowców było jak na lekarstwo, bo lepsi byli na froncie za kierownicami samochodów lub czołgów i często ginęli, a na ich miejsce z trudem znajdowano innych, co dotyczyło nie tylko Syberii. Brak ludzi do pracy w kołchozach, kiepski sprzęt żniwny i ogólny bałagan przy nagłych terminach spowodował, że część zboża była przyszyżona, podeptana i nie zebrała jak należy. Te wszystkie nieszczęścia uszczęśliwiały tych, co chcieli na wiosnę pozbiierać kłosy.

Oficjalnie obowiązywał zakaz zbierania kłosów na wiosnę i spożywanie tego ziarna, gdyż mogło się trafić ziarno przerośnięte, podobno trujące, ale ludzie nie zważali na zakazy, tylko zbierali ziarno i spożywali gotowane w całości lub rozbijane w młynku na mąkę, bo młyny odmawiały mielenia zboża niewiadomego pochodzenia. Zbierającym kłosy groziło także inne niebezpieczeństwo i to bezpośrednio na polach. Kołchoźnicy wyganiali ludzi z pól, prawdopodobnie z zawiści. Jak tylko zauważono, że ludzie są na polach w pobliżu wsi, kilku kołchoźników wyjeżdżało na koniach z kijami lub knutami i dopadłszy zbierających kłosy, lub najczęściej uciekających w popłochu, bili knutami i kijami po głowach i po plecach prosto z konia. Ludzie pobici padali na ziemię, a jeźdźcy gonili innych, tratowali i bili, kogo tylko dogonili. Ale i tak nie wszystkim się dostawało. Niektórzy w czasie ucieczki zostawiali woreczki z kłosami, aby móc szybciej uciekać. Nie było możliwości obrony, bo na ogół wśród zbieraczy przeważały kobiety i dzieci

Zostawione woreczki z kłosami, a często i inne osobiste przedmioty były rabowane przez jeźdźców. Pobitym nie udzielano pomocy. Dopiero, kiedy jeźdźcy odjechali, zbieracze pomagali sobie wzajemnie. Dlatego też nie zawsze przynosiło się z pola worek z kłosami, czasem w zamian tego kilka siniaków i guzów na głowie. Nie było możliwości nawet poskarżenia się komukolwiek, gdyż zbieranie kłosów było zabronione. Zbieracze czuli

się złodziejami, ale zbierali kłosa, bo zmuszał ich do tego głód i chęć przetrwania jeszcze kilka dni, może tygodni, a może i lat.

Pośród zbieraczy byli zarówno Rosjanie jak i Polacy, których w Kansku ciągle przybywało, szczególnie Żydów polskiego pochodzenia. Polacy ścigali do Kanska, żeby tu przy kolei czekać, czy nie nadarza się okazja powrotu do Polski. Informacje były tak ograniczone, że niektórzy nie zdawali sobie sprawy, że Polska jest pod okupacją niemiecką, żeby tam się dostać trzeba przejść przez linie frontu. Wszyscy czekali na powrót. Ci, co zdawali sobie sprawę z istniejącej sytuacji, czekali na zakończenie wojny, żeby można było powrócić w okolice Czortkowa, Zaleszczyk, czy innego miasta polskiego. Tam skąd byliśmy wygnani i przemocą wywiezieni tu, na ten przekłety Sybir.

